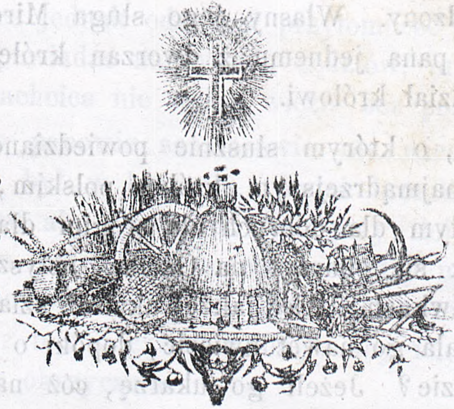
Tom XX. Nr. 11.

11. Kwietnia 1869.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK
PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Zdrajca ukarany.

We wsi Kowarsku, dwie mile za Wilnem, mieszkał niegdyś szlachcic nazwiskiem Grzegórz Ościk, pochodzący ze znakomitej rodziny, ale hulaka, lekkomyślnik i bardzo zadłużony. Było to za czasów króla Stefana Batorego, który prawie ciągle prowadził wojnę z największymi nieprzyjaciołmi Polski i religii katolickiej, z Moskalami. Jak dzisiaj tak i wówczas Moskale gdy nie mogli zwyciężyć orężem, uciekali się do przekupstwa i środek ten czasem się im udawał. Zasłyszawszy o Ościku jako człowieku znikczemniałym ale mającym jeszcze stosunki na wielkim świecie, spodziewali się zrobić sobie z niego powolne narzędzie zdrady i weszli z nim w konszachty. Ościk nie namyślał się długo. W nadziei znacznej od cara nagrody, dał się użyć i odtąd często gęsto zjeżdżali tajemnie do Kowarska posłowie moskiewscy, często gęsto z Kowarska szły listy do Moskwy.

Ale nim jeszcze Ościk cel swoich życzeń, to jest nagrodę uzyskał, spotkało go to, co prawie każdego zdrajcę czeka,

został sam zdradzony. Własny jego sługa Mirewski wyjawił sprawki swego pana jednemu z dworzan królewskich, a ten wszystko powiedział królowi.

Król Stefan, o którym słusznie powiedziano, że był najdzielniejszym i najmądrzejszym królem polskim, okazywał się zawsze wspaniałym dla dobrych ale srogim dla złych — toć łatwo pojąć jak się oburzył na Ościka, usłyszawszy o jego haniebnych sprawkach. Ale jakże ukarać szlachcica, kiedy prawo nie pozwala go nawet uwięzić, dopóki o zbrodnię przekonany nie będzie? Jeżeli go ukarzę, cóż na to powiedzą wszyscy ci panowie z którymi Ościk spokrewniony, a którzy i tak już krzyczą że król tyran, że despota, że rządzi samowładnie jak car moskiewski, że nie szanuje praw i przywilejów szlacheckich — chociaż król tylko dobra ojczyzny pragnął, tylko sprawiedliwości przestrzegał.

Nie wiedział o niczem Ościk i pojechał na hulankę do miasta Trok, ufając swoim sługom, tak Mirewskiemu którego był wysłał do Wilna jak i drugiemu Bartłomiejowi, który dworu w Kowarsku pilnował. W tem nad wszelkie spodziewanie wojsko z rozkazu króla otacza dom w którym przebywał; zaraz wzięto Ościka i przywieziono do Wilna a ponieważ jako szlachcica nie wolno było osadzić go w więzieniu, oddano go pod straż marszałkowi nadwornemu królewskiemu. Jednocześnie odbyła się też rewizya we dworze w Kowarsku a tam znaleziono nie jeden dowód przeciwko Ościkowi, jako to pisma moskiewskie od cara i różne inne papiery ze sfałszowanemi podpisami panów polskich, co wszystko zabrano i razem ze sługą Bartłomiejem przywieziono do Wilna.

— Nie taki wilk straszny jak go malują, mówił sobie Ościk gdy go przed sąd zawołano; i śmiało stanął przed obliczem królewskiem, ufając drugiemu słudze jak samemu sobie, ufając swojemu szlachectwu i krewnym piastującym wysokie urzędy i dostojeństwa. Zmięszał się wprawdzie gdy usłyszał że sługa Bartłomiej wygadał już wszystko co wiedział, a jeszcze bardziej gdy mu do oczu pokazano dowody w Kowarsku zna-

lezione. Wkrótce jednak odzyskał przytomność i minę zuchwałą i nie chciał odpowiadać na pytania sędziów, broniąc się hardo że go jako szlachcica nie wolno więzić bez pozwu.

Słysząc to panowie senatorowie nie wiedzieli jak sobie postąpić i król był w kłopocie. Jedni bronili wolności szlacheckiej i chcieli aby Ościka na mocy przywilejów wypuszczono i dopiero potem przed sąd pozwano, drudzy milczeli, bo wiedzieli iż król powinien mieć w ręku miecz sprawiedliwości, ale nie śmieli się z tem odezwać z obawy aby ich zdrajcami bracia szlachta nie okrzyczała.

Wówczas król Stefan rzekł:

— Zły to szlachcic co zdradza, lepszy od niego najuboższy chłop. Nietylko szlachectwa ale i życia niegodzien, kto ojczyznę zdradza, i dlatego winowajca co taką zbrodnię popełnił nie ma prawa zasłaniać się szlachectwem. Teraz czasy wojenne a wy mości panowie jesteście sądem wojennym i doraźnym, toż nie możecie się ociągać, ale natychmiast powinniście wydać wyrok na winowajcę.

Padł teraz strach na Ościka. Widząc iż kusa rada, dalejże zwalać winę na żyda co mu fałszywych pieczęci dostarczył. Wzięto więc żyda i uznano winnym ale Ościka nie puszczono. Przestraszony padł na kolana, wyznał całą zbrodnię i czołgając się u nóg królewskich błagał o przebaczenie. Wówczas i jego krewni wstawiać się za nim zaczęli i błagali króla o darowanie życia Ościkowi, a drudzy przedstawiali, że gdy Ościk stracony zostanie, szlachta z natury burzliwa, rozruch gotowa zrobić że jej przywilej samowolnie zgwałcono.

Na to wszystko król słowa nie odpowiedział ale rozkazał sobie podać wyrok do podpisania. Gdy jednak już miał go podpisać, zamyślił się nagle. Nie był on krwi chciwym ale brzydził się zbrodnią, nie chciał być srogim ale sprawiedliwym. Jeszcze raz więc wziął na uwagę całą sprawę i długo, długo zastanawiał się nad nią, ale w końcu namyślił się i podpisał wyrok skazujący na śmierć Ościka i żyda który z nim był w spólnictwie, sług zaś obu tak Mirewskiego jak i Bartłomieja

ułaskawił, ponieważ zeznaniami swojemi dopomogli do wykrycia i ukarania zbrodni.

W trzy dni potem ścięto Ościka i jego towarzysza. Powstał krzyk groźny w całym kraju, szlachta gniewała się i groziła ale król był spokojny, bo miał czyste sumienie; wiedział że jako stróż sprawiedliwości tak a nie inaczej powinien był sobie postąpić. Miał też król Stefan serce wspaniałomyślne i łaskawości pełne, czego wkrótce potem dał następujący dowód. Według praw litewskich wina ojca powinna była spaść i na syna, który został po Ościku, chociaż ten, gdy ojca tracono był jeszcze małoletnim, i nie mógł do zbrodni należeć Otóż król idący za popędem wspaniałego serca, zdjął z niego wszelką zmazę, uznał go niewinnym uczynku ojcowskiego i przypuścił napowrót do wszelkich swobód, przywilejów i zaszczytów szlacheckich, które z winy ojca swego powinien był utracić.

W ciągu świetnego ale niestety krótkiego panowania swego król Stefan nigdy nic takiego nie uczynił, w czem możnaby mu zarzucić niesprawiedliwość. Owszem był zawsze wzorem sprawiedliwego sędziego — Oprócz Ościka, jeszcze drugiego szlachcica, Samuela Zborowskiego który się zdrady dopuścił, skazał był na śmierć, bez namysłu, chociaż jego rodzinie winien był nawet wdzięczność za swoje wyniesienie na tron. Raz znowu gdy król Stefan był we Lwowie, żyd pewien pozwał do sądów królewskich starostę Herburta; starosta z początku nie chciał stanąć, mając to sobie za ubliżenie, ale król go zniewolił, przydając że tak starosta jak i żyd powinien słuchać prawa. Dla tej to sprawiedliwości szanowano króla Stefana i wybito nawet w Krakowie medal na cześć jego z napisem: „Król który sądzi według prawdy ubogie, stolica jego będzie utwierdzoną — chociaż gniewano się, że nieraz sprawę inaczej osądził jak tego wymagało prawo. Czynił on to jednak wtedy tylko, gdy się przekonał że prawo było złem lub niesprawiedliwem, że było dogodnem dla jednych a szkodliwem dla drugich.

Dobra noc.

Dobra noc wam!
Wszystkim utrudzonym pracą!
Dzień się do końca już chyli,
Niech sny wam za trud wypłacą,
Aż się ranek nie odchyli,
Dobra noc wam!

Do spoczynku!
Zamknij się powieko nasza!
Cichość w około powstaje,
Stróż nocny spokój ogłasza,
I noc się już wołać zdaje:
Do spoczynku!

Dobra noc wam!
Spijcie dopóki nie wstanie
Dzień, co troski świat zatruwa,
Spijcie! aż nie błyśnie ranie,
Bez bojaźni! Ojciec czuwa.
Dobra noc wam!

L. P.

Szymon z Zawiśla.

(Ciąg dalszy).

III.

Nazajutrz po przybyciu Szymona do Trzydniowa ledwo skowronek zaspiewał, on był już na nogach i wszyscy w chacie powstawali. Każde wzięło się do pracy a że na chęciach nie zbywało raźno szła robota. Szymon rąk nie żałował i widać było, że pracuje szczerze. Poznał wkrótce Jakób że i rodzone dziecko nie robiłoby więcej dla niego.

Minął dzień jeden, minął drugi, potem tydzień, wreszcie i miesiąc, a Szymon w pracy nie ustaje, jeno rąk przykłada, a zwija się, rzekłbyś że mu się robota pali w ręku. Sprytny też to był człowiek; rozumiał się i na gospodarce i na ciesiołce

i koło chudoby chodzić umiał, słowem co tylko wziął do rąk wszystko zrobił i dobrze.

A że był przytem dobrego serca i nie żaden sprzyka, i Jakóba czcił jak ojca, a Jakóbowę jak matkę, Marynce też pomagał ochoczo niby brat siostrze, cała więc rodzina wprędce przywiązała się do niego jak do swego. To tylko wszystkim w oczy wpadało że nie zawsze był jednakowo wesoły. Czasem słowo nic nieznaczące, bez myśli wymówione, wprawiało go nagle w dziwny smutek lub zamyślenie. Marynkę polubił bardzo; nie było odpustu ani jarmarku, aby z niego dziewczęciu bogdaj pierścionka nie przyniósł i nawet weselszy był, gdy ją widział przy sobie. Na wyżynkach i na weselach tańcował z nią do upadłego, ale czasem ni ztąd ni z owąd wyrwał się z karczmy bez żadnej przyczyny i nie pokazał się przez cały wieczór, czasem zaś żadną namową nie dał się zwabić do karczmy, jeno do późnej nocy błąkał się po polach, ponad Wisłą.

Tymczasem chata co do niedawna była w takiem opuszczeniu, zmieniła się nie do poznania i widocznie spoczęło nad nią błogosławieństwo boskie. I w chacie też już nie było tak jak dawniej. Jakóbowie nie zapomnieli wprawdzie o swojej ciężkiej stracie, ale już o niej tak często nie myślą, a gdy popatrzą na Szymona to im się zdaje że to syn ich własny i już w sercu nie czują takiego bolu.

Scieszki do niedawna chwastem zarosłe, już znowu wydeptane, ten i ów przechodząc tędy wstąpi na chwilkę, sąsiedzi zaczynają odwiedzać dawnych znajomych, schodzą się dziewczęta i parobczaki na wieczorynki, a wszyscy pokochali Szymona, bo on żył z każdym zgodnie, każdemu posłużył, pomógł, każdego poratował czem mógł.

Ksiądz proboszcz nie posiadał się z radości, ujrzawszy na własne oczy że Jakóbowie posłuchali jego napomnienia, a gdy mu powiedziano, że to Szymon głównie do tego dopomógł, życzliwem sercem przypuścił nową owieczkę do swojej owczarni zwłaszcza gdy się przekonał, że przychodzień z pobożności, trzeźwości i innych cnót, mógł być wzorem nietylko dla rówieśnych ale i dla starych.

Widząc Jakób jako Szymon i jego i żonę i ich przybraną córkę pracą swoją żywi i odziewa, jako zdrowie tera i młodość marnuje byle im dopomódz, zaczął przemyśliwać czemby mu się odwdzięczyć za jego trudy i serce poczciwe.

— Mam ci ja skarb — mawiał do siebie, wziąwszy na uwagę, że mógłby Szymona ożenić z Marynką i oddać mu cały dobytek, byle ich starych trzymali i żywili do śmierci; ale samemu narzucać się nie wypadało, a Szymon choć tak bardzo sprzyjał Marynce nigdy ani jednem słowem nie okazał że miałby chęć pojąć ją za żonę, i nigdy nic takiego nie uczynił z czegoby można wnosić, że się z nią myśli żenić.

Nim jednak Jakób namyślił się nad tym swoim zamiarem, nim go nawet swojej żonie powierzył, już po całym Trzydniowie rozeszła się pogłoska, że Jakóbowie żenią Szymona z Marynką. Jaki taki pomyślał sobie: żenią, to niech żenią; ale byli młodzi co Szymonowi zazdrościli Marynki i wiana które dostać miała, byli starzy co zazdrościli Jakóbowi że takiego zięcia dostaną. Siedział też na granicy Trzydniowa gospodarz jeden Wincenty Cmok, co miał żonę pijaczkę i ladaco tak jak on, i córkę w trzydziestym piątym roku życia, która się w matkę wdała; owóż ten dowiedziawszy się że Jakóbowie mają Szymona żenić z Marynką, ułożył sobie pobudować się czemprędzej nad samą Wisłą, aby też dla swojej Kachny złowić jakiego Zawiślaka.

Przy takich pogłoskach nie obeszło się też i bez różnych przygryzków, których i Marynka i Szymon choć niewinnie nasłuchali się dosyć a Marynka najwięcej.

Szymonowi nie w smak było to ludzkie gadanie i odwracał uszy gdy go zalatywało, ale Jakóbowie pocieszali się że skoro ludzie gadają to może wygadają, więc gdy ich się sąsiedzi pytali kiedy weselisko, Jakób się tylko uśmiechał, a Jakóbowa dawała dwuznaczne odpowiedzi.

Tak ubiegły dwa lata jak z bicza trzasł.

Szymon ani myślał prosić o Marynkę, nikt się też nie rwał po nią, bo młodzież trzydniowska odstręczyła się przez owe pogłoski, już przez to, że gdy Marynka Szymona widziała przy sobie, to już nie chciała ani patrzeć na drugich.

Jakób nie wiedząc co czynić, nuż do żony o pomoc. Rada w radę prędko stanął układ. Oboje starzy postanowili otwarcie pogadać z Szymonem.

Jakób upatrzywszy stósowną porę, właśnie gdy Marynki nie było w chacie, bo rodzice nie chcieli aby wiedziała co o niej zamyślają, przyzywa do izby Szymona.

On się ani spodziewał, co go czeka, toż zdziwił się niezmiernie gdy wszedłszy do izby ujrzał na stole przygotowaną wódkę, a w ręku Jakóba kieliszek, ale zdziwił się jeszcze bardziej gdy mu staruszek wyłożył swoje zamiary względem niego i Marynki.

Jakób skończywszy popatrzył na Szymona i czekał co mu na to odpowie, ale czekał dość długo, bo parobek tak stał nieporuszony jakby go mowa Jakóba pozbawiła zmysłów i słowa nie mógł wyrzec, aż gospodarz wstrząsł go za rękę i zagadał do niego:

— Cóż ty na to Szymonie?

Szymonowi łza zakręci się w oku, spuścił głowę, przybliżył się do gospodarza i tak rzekł:

— Zasługi moje zbytnie wynosicie gospodarzu; prawda że szczerze wam robię, ale tylko tyle co Pan Bóg każe i powinność święta. Marynka, to za wiele łaski dla mnie. Po nią kmieć zajedzie czterma końmi i malowanym wozem.

— Mój Szymonie — odezwie się na to Jakóbowa — nie chcę ja dla mojej Marynki kmiecia, coby czterma końmi po nią zajechał, bo żądałby on takiego wiana coby ośm koni miały co ciągnąć. Smutnoby nam też było rozstawać się z Marynką i samym zostać na starość.

— A kiedy już ciebie — rzecze Jakób — Pan Jezus do nas najprzód przyprowadził i tak dał, żeśmy dwa lata pod jednym dachem w świętej zgodzie przeżyli, to już snać taka Jego wola była, abyś nas więcej nie opuszczał.

Szymon ciągle milczał i namyślał się jakby mu trudno było dać od razu stanowczą odpowiedź.

Dziwno się to starym wydało, i niecierpliwie czekali co im znowu powie.

— Niech wam Pan Jezus niebem zapłaci za wasze dobre chęci — rzekł nareszcie — rozumiem dobrze jaką mi łaskę chcecie wyświadczyć, toż mi ledwo serce nie pęknie gdy pomyślę, że tak być nie może.

— A to czemu? — zapytał Jakób.

— Chyba gardzisz nami i naszą szczerością — odezwie się Jakóbowa nieco urażona — albo masz inną na oku...

— Oj moi kochani — rzecze na to Szymon — nie znacie wy mnie jeszcze, kiedy tak myślicie. Nie mam ja innej na oku i wami nie gardzę, jeno to mówię co mi sumienie każe. Alboż to nie wiecie żem ja zagraniczny, że nie mam ani metryki, ani innych papierów bez których ślubu nie dadzą, i Bóg wie gdzieby pójść za tem wszystkiem?

Jakóbowa żałowała że zbyt porywczo osądziła Szymona.

— O! tak, tak; dajcie temu pokój co być nie może; zapomnijcie .. i nie mówcie więcej o tem, bo i mnie się serce kraje, gdy nad tem pomyślę jakby mi dobrze było z Marynką i z wami, gdyby to tak być mogło. Darmo! trudno przeciw wodzie płynąć co być nie może to nie może.

Gdy on tak mówił. Jakóbowa podparłszy głowę na ręku, rozważała jego słowa, a Jakób przechadzał się zamyślony po izbie, i skoro Szymon skończył, on klasnął w ręce i tak rzekł:

— Górą nasza! nie turbuj sie chłopcze, kiedy tylko o papiery chodzi, to w Bogu nadzieja wszystko pójdzie dobrze. Wiem już jak złemu zaradzić Alboż to nie mamy poczciwego Jegomości? Ho! ho! już on na to znajdzie sposób.

I nuż rozpowiadać obszernie jak za łaską księdza proboszcza wyrobi Szymonowi wszystko co do ożenienia potrzeba. a potem rzekł do żony:

— Idź matko, przygotuj indyka, pójdziemy zaraz do dobrodzieja.

Tymczasem Szymon stał ciągle nieruchomy i milczący, a widać było z jego twarzy że to wszystko ani go cieszyło ani trafiało do jego przekonania. Nareszcie upadł do nóg rodzicom, całował ich kolana i powtarzał nieledwie z płaczem:

— Bóg wam zapłać, Bóg wam zapłać, ale to być nie może.

Oboje Jakóbowie popatrzali na niego, był bardzo blady i zmieniony, i widno było co go to kosztowało tak obstawać przy swojem i odpychać szczęście co mu samo lazło do garści.

— Mój Szymonie — rzecze Jakóbowa — mówisz że innej nie masz na oku, a jakaż może być przyczyna twojej odmowy, jeżeli nie to żeś sobie inną upatrzył?

Na te słowa Szymon podniósł głowę i tak powiedział:

— Tak jest, upatrzyłem; a chociaż ta którą upatrzyłem, jest dziś żoną innego, i nigdy już moją nie będzie, ja jej będę wiernym do śmierci.

— Wietrznica to jakaś, i ciebie niegodna — rzecze Jakób.

— O! nie, nie — poderwie Szymon prędko — tak zrobiła, bo musiała, bo ją matka do tego przynagliła, bo tak sam Bóg przeznaczył. Opiekun niegodziwiec, wydarł mi ojcowiznę, a potem i ją, i sam się z nią ożenił. O! Zośka niewinna, Zośka nie wietrznica, ona może stokroć więcej cierpi jak ja... Ale na co ja wam mówię to wszystko?

Jakóbowie milczeli i z politowaniem słuchali Szymona.

— Źle wam się wypłacam za waszą litość i poczciwość dla mnie, biednego tułacza; nie jestem godzien waszej łaski, ale nie ścierpię abyście mnie mieli za niewdzięcznika... puśćcież mnie niech idę daleko choćby na kraj świata, a wy zapomnijcie o mnie i wyrzućcie z serca — Odwrócił się ku drzwiom i chciał wyjść, ale go Jakób zatrzymał zagadawszy doń po ojcowsku.

W tem w oddaleniu dała się słyszeć wesoła piosneczka którą nuciła Marynka, nie przeczuwając nawet co się dzieje w chacie. Usłyszawszy ją Jakób skinął na parobka, aby jej nic nie wspominał o tem co zaszło między niemi. Szymon wyszedłszy na podwórko, spojrzał ku Wiśle, tam słonko zachodziło i właśnie w tej chwili smutno obejrzało się na niego.

W progu chaty ukazała się Jakóbowa i zawołała go na podwieczorek.

Szymon jakby go coś do ziemi przykuło stał ciągle w miejscu z oczyma ku Wiśle zwróconemi i ani myślał iść na wieczerzę. Bóg wie co tam za myśli snuły mu się po głowie. To blady był na twarzy, to znowu czerwony, oko mu ogniem pa-

łało, usta krzywiły się niby do uśmiechu, niby do płaczu, to pięść ściskał i groził nią w powietrzu nie wiedzieć komu, to znowu machnął ręką jakby na znak przebaczenia. Wreszcie zakrył dłonią lica jakby mu się doprawdy na płacz zebrało. Po chwili śpiesznym krokiem wyszedł z podwórka i nawet nie słyszał czy może nie chciał słyszeć Marynki która nie mogąc się go doczekać, wybiegła z chaty aby go przywołać i do wieczerzy obok siebie zasadzić.

Poszedł nad Wisłę i tam na brzegu samotnie cały wieczór przepędził. Marynka napróżno szukała go i ojców dopytywała o niego, ale jakżeż się zdziwiła gdy ujrzawszy go powracającego nocą do domu, niezwykłą postrzegła w nim zmianę. Szymon milczał uporczywie lub ni w pięć ni dziewięć odpowiadał niespokojnej o niego dziewczynie.

IV.

Szymon nadal pozostał u Jakubów, ale już więcej nie było mowy o wydaniu Marynki za niego, i nawet mowy być nie mogło ; bo Szymon zaraz od tego dnia, od tej godziny w której mu rodzice z najszczerszego serca dawali ją za żonę, zmienił się nagle nie do poznania.

Wprawdzie pracował zawsze jednakowo, niby nawet z większą ochotą i pilnością jak dawniej, ale dla Marynki był już całkiem inny.

Już jej z jarmarków i odpustów nie znosił ani pierścionków ani obrazków, już w niedzielę nie puszczał się z nią w taniec ani innym przeszkadzał tańczyć z nią do woli, i w chacie, czyto byli sami, czy z rodzicami, ani się do niej zaśmiał ani zagadał, a czynił to jakby koniecznie wszystkim chciał pokazać że nigdy nie miał ani chęci ani zamiaru z nią się żenić.

Przykro to było Jakóbowi i Jakóbowej, że ich nadzieje tak spełzły na niczem i sami teraz nie wiedzieli jak się z kłopotu wydobyć, jak wypić to piwo które sobie sami nawarzyli.

Pragnęli oni szczerze wydać Marynkę za mąż, aby tym sposobem zapewnić dziewczynie los i opiekę, gdy zostanie sie-

rotą, i dla siebie też, zwłaszcza przy nadchodzącej zgrzybiałości uzyskać przez to jakowąś pomoc: głośno więc już teraz wszystkim mówili, że ani im to w głowie brać Szymona za zięcia. Nikt się jednak nie trafiał Marynce. Uradzili rodzice że jedno tylko mogło napowrót przywabić młodzież do Marynki, a to: wydalenie Szymona z chaty.

Ale pozbyć się parobka, który jak to mówią na nogi ich postawił, nie wypadało i byłoby nawet grzechem.

Marynka, której rodzice nie mówili wcale jakie dawniej mieli zamiary względem niej i Szymona, nie domyślała się niczego. Skoro postrzegła obojętność parobka do którego się jak do brata przyzwyczaiła, ba, skoro on po pierwszy raz inaczej jak zawsze na nią spojrzał, poznała zaraz, nie poczuwając się do żadnej winy, że coś zaszło między nim a rodzicami.

Zasmuciło ją to bardzo, nuż więc pytać o przyczynę i jego i ojców, ale nadaremnie, bo i ci zbyli ją ni tem ni owem, i Szymon nic jej powiedzieć nie chciał. Widząc że nic nie wskóra, że owszem pogorsza sprawę swoją ciekawością, dała pokój pytaniu, ale ta niespodziewana i tak nagła zmiana dotknęła ją do żywego i biedne dziewczę rady sobie dać nie mogło.

Minęło znowu kilka dni, kilka niedziel, czas się wlókł powoli, bo smutno. W chacie Jakóbów już się wszystko nie do poznania zmieniło. Znikła dawna wesołość, znikła dotychczasowa serdeczność co od dwóch lat całą rodzinę z sobą i parobkiem wiązała. Już się piosenka nie rozlega po połach. Marynka w niedzielę nie chodzi na muzykę, a Szymon choć zawsze jednakowo garnie się do roboty i ochoczo do wszystkiego rękę przykłada, choć rodzicom w niczem nie ubliży i Marynce też w niczem żadnej przykrości nie zrobi, jest już teraz ze wszystkiemi, jak to mówią na bakier.

Tak opanował znowu całą rodzinę prawie taki sam smutek jak wówczas gdy z kraju włoskiego nadeszła wiadomość o śmierci Szymka, smutek co się nie skończył czyli raczej nie przytłumił aż z przybyciem Szymona, który dotąd Jakóbom syna a Marynce brata tak dobrze zastępywał. (C. d. n.)

Części składowe wody i żegluga powietrzna.

Jakiż mogą mieć związek części składowe wody, czyli jej pierwiastki z powietrzną żeglugą? Czyliżby można parą wodną wznieść się w powietrze, i po obłokach w dalekie przenosić się strony? Nie, to niepodobna; ale w naturze dziwnie niekiedy jedno się z drugiem jednoczy, a właśnie woda składa się z szczególniejszych pierwiastków, o jakich dawniej nie pomyślano nawet. Jak powietrze z dwóch różnych części składowych jest złożone, tak i w skład wody dwa różne wchodzą pierwiastki. Za pomocą stósownych narządów i licznych doświadczeń, okazał badacz francuski: że woda składa się z kwasorodu (tlenu) i wodorodu (wodoru), którego nadzwyczajna lekkość najbardziej zadziwiała. Tak więc gdy dawniej powietrze za najlżejszą poczytywano materyą, teraz odkryty został rodzaj powietrza 12 razy lżejszego od zwyczajnego.

Jeżeli do rurki szklannej od narządu wodorodem napełnionego wychodzącej, przytwierdzimy rurkę kauczukową, przepuszczającą gaz rzeczony przez siebie, i zanurzywszy ją w wodzie mydlanej, do puszczania baniek przez dzieci używanej, wtedy będą się tworzyć bańki, które gazem wodorodnym 12 razy lżejszym od powietrza zwyczajnego napełnione, tak wysoko ulecą że z przed oczu znikną zupełnie. One to, są obrazem bań wielkich czyli balonów. Człowiek bowiem wszystko na użytek swój obracać nawykły, wyrabiał z lekkiej a mocnej jedwabnej materyi (kitajki) ogromne banie, napełniał je gazem wodorodnym, te zaś im były większe, tem się wyżej wznosiły; u ich spodu zawieszał kosz lub łódkę z narzędziami do postrzeżeń w górnych warstwach powietrza potrzebnemi, i śmiało się puszczał w towarzystwie niekiedy kilku osób w przestwór zupełnie tajemniczy dla siebie.

Z zdumieniem patrzymy na śmiałego żeglarza wzbijającego się w powietrze, jak równie na olbrzymi balon kilkanaście łokci średnicy mający, który szybko wzlatuje ku obłokom, i w miarę wzrastającej wysokości, coraz to bardziej w oczach naszych maleje, aż dopóki jak punkcik nie zniknie nam z widoku.

Ale co nam też ciekawego ów powietrzny żeglarz, o swojej podróży opowie, kiedy znowu szczęśliwie spuści się na ziemię? może bania gazem napełniona, zbliży go choć do księżyca?

To już niepodobieństwo; bo jak korek na wodzie tylko pływać może, tak i balon wodorodem napełniony do pewnej tylko wys kości wznieść się zdoła, tem bardziej, że mu wzlot jego utrudnia znaczny ciężar, to jest: łódka z ludźmi i wszelkiemi przyborami, pod nim zawieszona; pomimo tego jednak bardzo wysoko wznosi się balon, a podróżny nie mało postrzeżeń w królestwie bujających chmur poczynił. Niektórzy żeglarze wzbili się przeszło na 22.000 stóp nad powierzchnią morza, a trzy razy tyle co wysokość szczytu Łomnickiego w Karpatach, o 7.000 stóp wyżej nad górą Białą, najwyższą w Europie, a o 5.000 wyżej niż góra Ararat w Azyi, gdzie arka Noego po potopie stanęła.

Z takiej wysokości nie obaczy się już ziemi wyraźnie; zdziwiony żeglarz widzi tylko pary wodne, mgły i chmury poniżej balonu rozciągające się, a nad sobą obłoki wysokie. W czasie wzbijania się w powietrze, wydaje się podróżnemu, że jego łódka z balonem ciągle na jednem miejscu zostaje, a piękna zielonością strojna ziemia, z zwierciadlanemi wód powierzchniami i górami zwolna zapada w głębinę, a chmury znowu nad nim krążące, zniżają się ku niemu, i jak mgłę porywają go ku sobie, przy coraz chłodniejszem powietrzu. Wtedy i mgły zdają się powoli pod nim zapadać, i wydają się mu chmurami poniżej rozwieszonemi, a ciemno-modrej barwy niebo, ukazuje jaskrawą jak w zimie tarczę słoneczną, bo teraz jak na wysokich szczytach gór coraz to chłodniejsze, zimniejsze panuje powietrze, rozrzedzonem zaś trudno jest oddychać, i tak się wydaje, jakby go już w miarę wysokości coraz więcej ubywało. Pełen niespokojności i trwogi nawet, otwiera żeglarz klapy przy balonie umieszczone, wypuszcza z niego część lekkiego gazu, dla spuszczenia się znowu na ziemię. Teraz znowu zdaje się podróżnemu, że chmury pod nim będące, szybko się w górę podnoszą i zatapiają w mgle ciepłej, a kiedy i przez nią przesunie się

wędrowiec, wtedy ziemia ukazuje się na nowo i wynurza się z powietrza.

Ale wcale inne okolice, inne góry, inne zwierciadła wód przedstawiają się teraz powietrznemu żeglarzowi, bo on nie wzbijał się w prostym ku obłokom kierunku, ale przechodnim wiatrem gnany, daleko zboczył od zamierzonej drogi. W obecnej więc chwili, zbliżając się ku ziemi, wydaje się podróżnemu, że cała okolica pod nim się usuwa, kiedy on z balonem powyżej niej rączo szybuje; a gdy już dosyć blisko spuści się ku ziemi, wtedy wyrzuca żelazną kotwicę, aby się gdzie silnie zahaczyła. Ta wlecze się po polu i rozrywa ziemię, dopóki nie utwierdzi się w gruncie, i nie zatrzyma balonu w spoczynku, poczem dopiero żeglarz szczęśliwie na suchej stanąć może ziemi.

Gdzież jestem? pyta się ciekawością zdjętych, a coraz liczniej gromadzących się ludzi, i przekonywa się, że w niewielu godzinach do stu mil od miejsca wzlotu, przebył pomyślnie, i spuścił się znowu bezpiecznie. W czasie pozornego spoczynku balonu, pędziły go szalone wiatry w wysokim łuku, i w rozlicznym tu i owdzie kierunku i ponad różnemi krajami.

Pierwsze próby wycieczek powietrznych, nie odznaczały się znacznym plonem wiadomości; w miarę jednak wzrastającej odwagi do puszczania się balonem, uczeni badacze podejmowali tę żeglugę opatrzeni w stósowne narzędzia do wymierzenia wysokości, ciepła i zimna, równie i dla zbadania powietrza i pary w niem unoszącej się, i swemi postrzeżeniami znacznie rozszerzyli zakres wiadomości o tajemniczem dotąd królestwie chmur. Teraz w licznych przypadkach, umiemy wiele wytłumaczyć sobie o wietrze, stanie powietrza i zjawiskach w niem zdarzających się, co dawniej prawdziwą dla nas było zagadką. Regularna żegluga powietrzna, i podróże po otaczającym wysoko naszą ziemią żywiole, nie jest dziś więcej niepodobieństwem, pomimo trudności nadania balonowi stósownego kierunku; ale od wynalezienia machin parowych, za pomocą których na kolejach żalaznych 4 do 6 mil i więcej na godzinę ubiegamy, lub na statkach parowych równie szybko płyniemy, i wreszcie odkąd telegrafy jeszcze prędzej wszelkie wiadomości z jednego

miejsca na drugie przenoszą, nie ubiegają się już ludzie za prędką wprawdzie, ale kosztowną, niepewną i niebezpieczną powietrzną zeglugą, z takim jak dawniej zapałem. Teraz tylko używają jeszcze balonów do rozpoznania czasowego górnych prądów powietrza i zbadania jego stanu w obecnej chwili, o ile to podobnem do prawdy być może. Jak uczeni badacze natury przepowiadają zaćmienia słońca i księżyca, i bieg wielu ciał niebieskich, tak i uczeni w Anglii i w innych krajach, zwiastują w portach żeglarzom burzę lub pogodę, przez co rozbicie się okrętów i inne na morzu nieszczęśliwe przygody są rzadsze, bo płynący po niestatecznym Oceanie, na większej mogą się mieć baczności.

Różności.

Szybkość światła. Prędkość rozszerzającego się światła przechodzi wszelkie wyobrażenie. Nie znamy w całem stworzeniu większej szybkości. Podług najgodniejszych wiary postrzeżeń przechodzi światło od słońca do ziemi w przeciągu 8 minut i 7 i pól sekund, a zatem na sekundę 40.000 mil geograficznych; prędkość światła jest nadto 10.313 razy większa niż prędkość obracającej się w około słońca ziemi; 976 000 razy większa od głosu, a półtora miliona razy większa niż kuli armatniej.

Dobroć serca. Henryk Brodaty ks. szląski i polski a mąż św. Jadwigi, taką dla najniższego stanu ludzi dobroć serca okazywał, że gdy mu kto z nich na prostej misie podany bochen chleba, lub sera krajankę ofiarował, przyjmował ten dar ubożuchnych ludzi chętniej nawet, niżeli zbytkowne dary wielkich panów, i tak mawiał: Ten ubogi kmiotek majętność mi swoją daje, czem sam żyje; niechże przynajmniej tę ma pociechę, żem jego podarek wdzięcznem przyjął sercem

Zdania moralne i przypowieści polskie.

Nie znalazłeś skarbu i nigdy go nie znajdziesz, jeżeli z założonemi rękami siedząc, nic pożytecznego robić nie będziesz.

Zamojski Jan mawiał: Grosz nie zapracowany, ubożу wielkie pany; a szeląg ukrzywdzony, wyprowadza miliony.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.